



Rozmowy pod patronatem dziekan prof. Aliny Maciejewskiej z okazji zbliżających się rocznic 100-lecia odnowienia tradycji Politechniki Warszawskiej oraz 95-lecia Wydziału Geodezji i Kartografii

Zdzisław Adamczewski: Wątpię, więc jestem

GEODETA: Jakie były początki pana edukacji?

ZDZISŁAW ADAMCZEWSKI: Moja matka Rozalia była wspaniałą kobietą. Mądrą i czytającą, mimo że nie miała formalnego wykształcenia. Ambitnie posłała mnie do szkoły przy seminarium nauczycielskim w Zgierzu. Ale ja byłem trochę taki nieprzystosowany sześcioletek, bo przy rodzinie przez ciotki chowany, więc darłem się i nie chciałem zostać w tej szkole. Dyrektorka już chciała mnie wyrzucić, ale dziewczyny seminarzystki zlitowały się i mówią, żebym coś narysował. Narysowałem jakiegoś konia, psa, budę, całe gospodarstwo. Dyrektorka, jak zobaczyła rysunek, powiedziała: „To przyszedł Kossak, weźmiemy go”. I w ten sposób zostałem w szkole. Przez pierwszy miesiąc siedziałem przy biurku wychowawczynie, potem jakoś się oswoilem. Pierwszą klasę skończyłem przed wojną. Pan z wąsikami nie dał mi pójść 1 września 1939 r. na rozpoczęcie drugiej klasy.

Był pan jedynakiem?

I tak, i nie. W końcu 1944 r. w rejon Łowicza, gdzie pracował ojciec, przybyło z Warszawy sporo uciekinierów po Powstaniu Warszawskim. Wśród nich znalazł się młody powstaniec Zbigniew Kos,

którego ojciec i matka przedwcześnie zmarli. No więc moi rodzice postanowili go przyjąć. Żyliśmy lepiej niż bracia, ani razu żeśmy się nie pobili. To była nieformalna adopcja, Zbyszek zachował nazwisko. Ten gest pokazuje wielkość moich rodziców, którzy przyszykują tego 13-letniego chłopaka i traktowali jak syna. Dostał też część schedy po nich. Zmarł kilka lat temu. Tak więc miałem przybranego brata.

A skąd wziął się wybór liceum mierniczego?

Trafiłem tam dzięki przyjacielowi Antkowi Kowskiemu, który mieszkał po sąsiedzku. On chodził do łódzkiej mierniczówki i mnie namówił. Ja sam zresztą miałem miłość do map, trochę też rysowałem. I po małej maturze w Gimnazjum i Liceum im. Stanisława Staszica w Zgierzu wybrałem tę szkołę. Nauczycielka francuskiego i łacinnik nie chcieli potem na mnie patrzeć, bo nie poszedłem dalej do liceum i na romanistykę, choć byłem najlepszy z łaciny i bardzo dobry z francuskiego. Egzamin wstępny do mierniczówki poszedł mi nie najlepiej, ale zdałem, i 1 września 1949 r. uważam za dzień swojego wejścia do zawodu geodezyjnego. Za to maturę w tym dwuletnim liceum zdałem już na samych piątkach i bez

egzaminu zostałem przyjęty na Politechnikę Warszawską. Ojciec, który zawsze był skąpy w pochwałach, bardzo się wtedy ucieszył.

Pracę zawodową rozpoczął pan już w czasie studiów.

1 kwietnia 1954 r. zostałem zastępcą asystenta (z rysunku geodezyjnego), podobnie jak Wojtek Janusz (z geometrii wykreślnej) oraz Jerzy Gaździcki (chyba początkowo z matematyki). Po zrobieniu dyplomu awansowałem od razu na stanowisko starszego asystenta. Dostałem wprawdzie z urzędu zatrudnienia przydział do Wojewódzkiego Zarządu Urządzeń Rolnych w Łodzi, ale ponieważ pracowałem już na Politechnice, wybroniłem się z tego. W tym roku przypada więc 60-lecie mojej pracy dydaktycznej. Być może jako wolontariusz będę mógł wygłosić na Politechnice jeszcze jakiś wykład.

Pracę doktorską pisał pan z wyrównania sieci geodezyjnych za pomocą modeli fizycznych.

Kiedy w 1964 r. robiłem doktorat, w Radzie Wydziału Geodezji i Kartografii było czternastu tytułarnych profesorów. Mam dzisiaj wiele szacunku, podziwu dla tych starych profesorów, że mnie nie zniechęcali. Przecież ja sobie w pracy doktorskiej bujałem po obrzeżach fizyki, wytrzymałości materiałów itp. Ale nawet prof. Tadeusz Lazzarini na to przystał, chociaż był „fundamentalistą” geodezyjnym i twierdził, że trzeba pilnować geodezji. Wszyscy mnie tolerowali, jednogłośnie zagłosowali po obronie doktorskiej. Nie ma porównania z tym, co się dzieje obecnie, jeśli tylko autor odejdzie gdzieś od głównego nurtu geodezji. Zaraz jest wybrzydzenie. Zaznaczam, że chodzi mi o interdyscyplinarność w metodologii, a nie tylko w zastosowaniach.

Zdzisław Adamczewski urodził się 29 listopada 1931 r. w Swędowie (woj. łódzkie). Ukończył Państwowe Liceum Miernicze w Łodzi (1951) oraz studia na Wydziale Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej (1956). W 1954 r. podjął pracę na macierzystym wydziale, gdzie przepracował ponad 50 lat. W 1964 r. uzyskał doktorat, w 1971 r. habilitację, a tytuł naukowy profesora otrzymał w 1979 r. W latach 1971-73 dziekan WGiK, następnie prorektor PW (1973-80) i prezes GUGiK w randze podsekretarza stanu (1980-87). Wiceprzewodniczący (1974-80) oraz przewodniczący (1980-83) SGP. Obecnie profesor Wyższej Szkoły Gospodarki Krajowej w Kutnie.



Pokój 720 w domu studenckim na Akademickiej 5. Od lewej: Zdzisław Adamczewski, Andrzej Rymarowicz, Jan Węgrzyn, rok 1952

Niektórzy do dzisiaj mówią na pana marcowy docent.

Bo ja przecież jestem marcowy docent. Ale dla mnie to brzmi dumnie, zresztą dla prof. Stefana Przewłockiego i innych również. Przewłocki mawia: A skąd się wzięli dzisiejsi profesorowie? Przecież to my, marcowi, hodowaliśmy ich na własnej pierś. Rzeczywiście, w 1968 r. zostałem docentem, podobnie jak kilkunastu innych doktorów na Politechnice. Mianowano nas docentami, ale jednocześnie postawiono warunek, że w ciągu trzech lat musimy zrobić habilitację. No i był taki facet, nazywał się Adamczewski Zdzisław, który w terminie trzech lat tę habilitację zrobił. Jeden jedyny. Dlatego dla mnie „marcowy docent” brzmi dumnie, bo ja się wywiązałem, a inni po prostu skorzystali.

Był pan prezesem GUGiK przez 7 trudnych lat. To okres pierwszej „Solidarności”. Niektórzy mówią, że tępił pan „Solidarności”, ale z drugiej strony bronił pan Bogdana Grzechnika, jej działacza.

Byłem na pierwszym zebraniu założycielskim „Solidarności” na WGiK PW.

Wtedy na Politechnice nie było jakiegoś zakazu, żeby partyjni się nie angażowali. Ale gdy posłuchałem różnych kolegów, nagle aktywistów i społeczników, których wcześniej kijem do jakiegokolwiek działalności, poza własnym interesem, nie dało się zapędzić, to pomyślałem sobie: nie, do tego nie przystąpię.

Początek mojego urzędowania był taki, że już pierwszego dnia chcieli mnie załatwić moi koledzy. Przynieśli mi papiery do podpisu. Coś mi się jednak w nich nie podobało, więc pytam, czy aby wszystko jest w porządku. Zapewnili, że tak. To podpisałem. Na drugi dzień dzwoni Kępa i mówi: Coś ty zrobił, przecież „Solidarność” cię wywiezie na taczce! No i musiałem tę decyzję odkręcić.

A jak to było z „Solidarnością” w GUGiK-u? Może opowiem anegdotę. Jednym z pracowników urzędu był wtedy pan Józio, należący do „grzechnikowców”, a przy okazji członek ORMÓ. Kiedy ogłoszono strajk okupacyjny w urzędzie, poprosiłem do siebie szefa straży przemysłowej i szefa ochrony społecznej z „Solidarności”. Uzgodniliśmy, że obej-

muję dowództwo nad tym całym „ustrojem” i pilnujemy, żeby był porządek, żeby nie było prowokacji itd. Ale Józio nie wiedział o tych uzgodnieniach. W pewnej chwili wkroczył do gabinetu i stwierdził: Panie prezesie (choć byliśmy na ty), będzie pan odtąd chroniony przez nas, znaczy zawsze ktoś tu przy panu będzie. No to się zapytałem, czy jak wyjdę do toalety, to też? No też! Pogadał, pogadał, w końcu mówi: Józiu, ja jestem dowódcą ochrony tego budynku, i niech nikt nie waży się mnie pilnować, bo każę wyrzucić za drzwi. Dla niego to był straszny dyshonor. Potem poprowadziłem go do okna i zapytałem, na której latarni będziecie mnie wieszać. Wtedy Józio wreszcie „zajarzył” i odparł już rozluźniony: Pan prezes może sobie wybrać.

No więc, jeśli mowa o tępieniu „Solidarności”, to było tępienie tylko tego jednego pana i jeszcze jednej pani. Miałem polecenie służbowe wyrzucić z urzędu tych dwoje ludzi, bo albo ja, albo oni. Włodzimierz Balcerek, który kierował wtedy Warszawskim Przedsiębiorstwem Geodezyjnym, przyjął ich do swojej firmy. Nikogo nie skrzywdziłem. Zostałem tak wychowany, żeby zawsze być życzliwie nastawionym do ludzi.

Jeśli chodzi o Bogdana Grzechnika, to według mnie każdy ma coś za uszami, z wyjątkiem Bogdana, którego sytuuję w pobliżu ideału. Uważam go za wspańiałego geodetę. A w tamtym okresie, cóż, nie miał łatwych wyborów, z jednej strony był w partii, z drugiej kierował „Solidarnością”. To były trudne sprawy.

Za pana kadencji zlikwidowano GUGiK, siłą rzeczy przeszedł pan do historii.

To był mój dramat. 21 stycznia 1987 r. zapadła decyzja o likwidacji urzędu. Zdecydowało gremium w składzie: dwóch sekretarzy KC PZPR, dwóch kierowników wydziałów KC, wicemarszałek Sejmu, cała rządowa wierchuszka. Kazimierz Barcikowski, który był szefem komisji ds. reorganizacji administracji państwowej, zreferował sprawę. On był z resortu rolnictwa, a rolnicy dążyli do likwidacji urzędu. I od stycznia do 20 października musiałem robić dobrą minę do złej gry, udawać, że się nic nie dzieje. A wyrok był ostateczny.

Trzy tygodnie przed likwidacją GUGiK w Strausbergu pod Berlinem odbyło się spotkanie szefów cywilnych służb geodezyjnych i wojskowych służb topograficznych krajów obozu socjalistycznego (tzw. socstran). Jeszcze wtedy musiałem im szklić i ściemniać.

Kiedy w 1982 r. pojawiły się pierwsze plany likwidacji GUGiK-u, wojskowi obronili urząd. Interweniowaliśmy wówczas z gen. Leonem Sulimą, szefem



Zespół VEGA. Od lewej: Andrzej Sas-Uhrynowski, Zdzisław Adamczewski, Tadeusz Chojnicki, Wacław Suchorzewski, Marek Żółtowski, rok 1957

naszej służby topograficznej, u wiceministra obrony gen. Floriana Siwickiego. Wojskowi wiedzieli przecież, że cywilna służba geodezyjna robi im 80% map topograficznych (w budżecie ukrywało się te wojskowe wydatki). W 1987 r. także interweniowałem, u wiceministra obrony gen. Włodzimierza Oliwy. Ale tym razem generałowie powiedzieli, że nic nie mogą zrobić. Decyzja o likwidacji była decyzją polityczną. Koniec, kropka. Ówczesny minister budownictwa Jerzy Bajszczyk zapytał tylko, czy chcę być likwidatorem urzędu. Zgodziłem się. Nie chciałem, żeby ktoś inny grzebał w tych trzech. Był taki prelegent, lektor z KC, który w co drugim zdaniu mówił „towarzysze, bądźmy szczerzy, taka jest prawda”. Ale przecież wtedy ani nie byliśmy szczerzy, ani to nie była prawda.

Pole pana działalności naukowej jest niezwykle szerokie. Od rachunku wyrównawczego po szacowanie nieruchomości. W czym czuje się pan najpewniej?

Najpewniej to czułem się wtedy, kiedy uczyłem studentów rysunku geodezyjnego. Wszystko inne to same wątpliwości. Jestem jednym kłębem wątpliwości. Piszę teraz artykuł, za który pewnie zostaną potępiony przez kolegów zajmujących się geodezją wyższą, bo zwątpiłem w cały tok ich rozumowania, wzięty prawie z XVII wieku od Pierre'a Bouguera. Wtedy to matematycy dobrali się do tego tematu. Boże, jakie oni łamańce robią, żeby tę naszą geoidę znaleźć. Zaczynają więc od ułożenia równań różniczkowych, a potem całkują te wspaniałości, idąc od szczegółu do ogółu. Tak robią wszyscy, to jest metoda uniwersalna stosowana w wielu działach fizyki, przyrodniczość, uznawana za jedynie ścisłą. A dla czego w tym przypadku nie zastosować dedukcji, czyli pójść od ogółu do szczegółu? Ale nie chcę w tej rozmowie wdawać się... w szczegóły.

Wielokrotnie mówiłem, że naukowiec, który przestaje wątpić, staje się majstrem. Może będzie nawet i dobrym fachowcem, ale nie naukowcem. Na jakiejś naradzie w Instytucie Geodezji Wyższej i Astronomii Geodezyjnej PW powiedziałem, że naukowcy są od tego, żeby wątpić. Na co Kazek Czarnecki, trawestując Kartezjusza, stwierdził: Wątpię, więc jestem. Ja to często cytuję: Wątpię, więc jestem (naukowcem).

Czy w przypadku geodezji można jeszcze mówić o badaniach naukowych? Przecież wszystko już zostało spenetrowane.

Moją idée fixe jest szukać na obrzeżach, czyli interdyscyplinarność. Nie można zasklepić się w wąskiej geodezyjnej skorupie.

Ale za prace na temat predykcji trzęsień ziemi środowisko specjalistów pana skrytykowało.

Proszę o podanie choćby jednej krytycznej publikacji. Gadać sobie można. A ci specjaliści pewnie wiedzą wszystko o geodezji! To jest właśnie problem tego iskrzącego styku. To, co wspólnie z córką zrobiłem na temat technologii predykcji, to jest dopiero połowa drogi. Drugą połówką powinni zająć się geofizycy, zamiast mnie przemilczać. Chodzi o stres górotworu, geodeci mieliby tu także pole do popisu. Warsztat obserwacyjny jest obecnie tak rozwinięty, jest tyle obserwacji, że trzeba coś z nimi zrobić. Zamiast tego, mamy coraz więcej specjalistów: specjalista od tego, specjalista od tamtego. Nauka nie polega jednak na tym, żeby tylko się rozdrabniać, ale również żeby stworzyć jakąś syntezę, żeby był z tego pożytek. Jak mówił Staszic: *Umiejętności dopotąd są jeszcze próżnym wynalazkiem, może czcym tylko rozumu wywodem, albo próżniactwa zabawą, dopokąd nie są zastosowane do użytku narodów*. Słowa te widnieją w Małej Auli Politechniki. Dawno temu w jednym z wywiadów powiedziałem, że jestem „geodetą zażartym”, to znaczy takim „zakapiorem” geodezyjnym. Uważam, że to jest piękny zawód, zresztą chyba zbyt piękny. Bo jak coś jest zbyt piękne, to jest niedoceniane.

Geodezja jest pana domeną, ale spore osiągnięcia ma pan także na polu humanistycznym. To liczne publikacje i artykuły prasowe, jak chociażby Geofelietony w „Przeglądzie Geodezyjnym”, to także nagroda tygodnika „Polityka”.

Jeśli chodzi o tę nagrodę, to w 1961 r. redakcja „Polityki” ogłosiła konkurs na pamiętniki inżynierów. I tak trochę z nudów na ćwiczeniach polowych ze studentami w Komorowie wzięłem maszynę i w lesie sobie pisałem. Było tego chyba ze czterdzieści stron. Wspominałem pomiary PGR-ów, kilka moich terenowych wypadów. No i to kupili, i opublikowali w wielkocennym numerze „Polityki” w 1962 r. Dostałem honorowe wyróżnienie. W konkursie wystartowali rozmaici zasłużeni inżynierowie, pamiętniki spisali sążniste, na kilkaset stron, więc do głównej nagro-

dy się nie kwalifikowałem. A fragment, który opublikowali, zatytułowali nieładnie „Skoczybruzda”, bo raz użyłem tego słowa w tekście.

Bozia rozłożyła mi talentów mniej więcej po równo, wszystkiego po troszku. Prof. Edward Otto, recenzent mojej pracy habilitacyjnej, powiedział o mnie: Geniusz to nie jest, ale solidna robota. Cóż, gdybym był szczególnie uzdolniony, to może by coś ze mnie było, a tak, pozostała mi tylko metodologia naukowa, która jest gdzieś we mnie zakodowana. Wątpić, szukać, nie przeżuwać. No bo ileż można zrobić habilitacji i doktoratów z GPS, ja się pytam?

Rozmawiali:

Zbigniew Leszczewicz i Jerzy Przywara

Pełna wersja wywiadu bogato ilustrowana zdjęciami oraz uzupełniona obszerną notą biograficzną zostanie opublikowana w rocznicowym albumie „Poczet profesorów”, który ukaże się na rynku na początku 2016 r.

Jaki jestem?

1. Główna cecha mojego charakteru

Nieśmiały i uparty

2. Co cenię najbardziej u przyjaciół?

Uczciwość

3. Moja główna wada

Niesystematyczność, chaos

4. Moje ulubione zajęcie

Myślenie

5. Moje marzenie o szczęściu

Zdrowo umrzeć

6. Co wzbudza we mnie obsesyjny lęk?

Źli ludzie

7. Kiedy kłamię?

Głównie, żeby nie drażnić drugiego człowieka

8. Słowa, których nadużywam

Trudno powiedzieć

9. Ulubieni pisarze

Jack London i Bolesław Prus

10. Czego nie cierpię ponad wszystko?

Głupiej roboty

11. Dar natury, który chciałbym posiadać

Trochę wyższy wzrost

12. Błędy, które najczęściej wybaczam

Prawie wszystkie

13. Czego zazdroścę innym?

Zazdrość jest mi obca

14. Książka, którą zapamiętałem...

„Ogniem i mieczem”

15. Co wzbudza stale mój podziw?

Rekordy sportowe

16. Czego nigdy nie zrobiłem, choć chciałem?

Nie mam odpowiedzi na to pytanie